

Lublin post-apo

AUTOR: JAROSŁAW CYMERMAN

Na dziedzińcu lubelskiego Zamku Łukasz Witt-Michałowski z sukcesem zainscenizował jeden z kryminałów Marcina Wrońskiego z komisarzem Maciejewskim w roli głównej, opowiadając o powojennej historii miasta.

■ Łukasz Witt-Michałowski często realizuje swoje spektakle w nietypowych przestrzeniach – *Kamienie w kieszeniach* można było oglądać w klubie muzycznym, *Lizystratę* w więzieniu, *Ostatniego takiego ojca* w postindustrialnej hali. Nawet jeśli przygotowuje przedstawienie w przestrzeni teatralnej, to nie potrafi zwykle oprzeć się pokusie, by jej nie przeorganizować, jak to z całkiem niezłym skutkiem zrobił ostatnio w *Ponownym zjednoczeniu Korei* według Joëla Pommerata. Przy okazji realizacji *Pogromu w przyszły wtorek* przyszło mu jednak zmierzyć się z przestrzenią nie tylko trudną pod względem technicznym, ale również niezwykle mocno naznaczoną – w której symbol spotyka się z wciąż bolesnym konkretem.

Podstawą scenariusza widowiska pokazanego w lipcu na dziedzińcu lubelskiego Zamku była piąta powieść z popularnego cyklu kryminałów Marcina Wrońskiego z komisarzem Zygmuntem Maciejewskim w roli głównej, których akcja toczy się przede wszystkim w Lublinie i innych miastach regionu. *Pogrom...* opowiada o wydarzeniach z września 1945 roku, kiedy to główny bohater – były przedwojenny policjant, później pracownik niemieckiego Kripo i oficer Armii Krajowej – siedzi w więzieniu na lubelskim Zamku, w tym samym miejscu, w którym grany jest spektakl. I choć może niecodzienne wrażenie z tym związane uzyskiwane jest w dość oczywisty sposób – gra bowiem sama przestrzeń i przechadzający się między widzami członkowie grup rekonstrukcyjnych w wojskowych i milicyjnych mundurach z lat czterdziestych minionego wieku – to jednak nie pozwala ono odbiorcom oglądać widowiska wyłącznie jako rozrywki. A już ci, którzy mają świadomość tego, co

działo się na zamkowym wzgórzu w latach 1939–1954, kiedy to dawna siedziba polskich królów (w latach dwudziestych XIX wieku przebudowana na więzienie) stała się najpierw hitlerowskim, a później komunistycznym miejscem kaźni, wiedzą, że oglądaniu tu jakiegokolwiek przedstawienia zawsze będzie towarzyszyć pamięć o śmierci i cierpieniu tysięcy ludzi.

Od samego początku zatem nad tym przedsięwzięciem zawisły dwa niebezpieczeństwa – z jednej strony zawsze ryzykowne dotykanie martyrologii, z drugiej swego rodzaju uwikłanie w związek z kulturą popularną. Drugie z tych niebezpieczeństw polega nie tyle na żywionym przez wielu przekonaniu, że to, co popularne, nie może być artystyczne, co raczej na pokusie pewnego pójścia na łatwiznę. Plenowe letnie przedstawienie oparte na dobrze sprzedającej się książce – to wszystko mogło zostać zrobione przy pomocy najprostszych środków, nie było potrzeby umieszczania w nim głębszych sensów, a widz i tak mógł wyjść zadowolony po spędzeniu kilku godzin lipcowego wieczoru na oglądaniu sensacyjnej fabuły, odegranej przez znanych z telewizji i kina aktorów.

Witt-Michałowski tego niebezpieczeństwa uniknął. Pomogła mu w tym przestrzeń, ale pomogło też trafne wyczytanie z Wrońskiego tego, co ukryte pod sensacyjną intrygą. Zarówno w książce, jak i w spektaklu szczególnie interesująca wydaje się być swego rodzaju post-apokaliptyczna perspektywa towarzysząca śledztwu Maciejewskiego. Były komisarz (w tej roli przekonujący Przemysław Sadowski) wychodzi po ponad roku spędzonym w więzieniu na Zamku tylko dlatego, że szef miejscowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego major

Grabarz (gra go zgodnie ze swoimi warunkami Mirosław Zbrojewicz) postanawia wykorzystać dawnego policjanta w rozpracowaniu intrygi zastępcy sekretarza KW PPR, który planuje w Lublinie wywołać pogrom ocalałych Żydów. Partyjny aparaczyk chce dzięki temu wykazać nieporadność samych organów bezpieczeństwa, które jako ekspozytura NKWD pozostają niezależne od lokalnych struktur partii komunistycznej, a przy okazji do spółki z szajką złodziei i bimbrowników chce przejąć żydowskie mienie. Tropi ich dawny glina, prowadzący śledztwo bez jakiegokolwiek umocowania, który robi to tylko dlatego, że Grabarz mgliście mu obiecał zostawić w spokoju jego żonę i małego syna. W książce Wrońskiego tłem akcji jest powojenny Lublin, który Maciejewski z trudem poznaje. Były policjant co rusz notuje obecność sowieckiego munduru, jego ulubione knajpy zeszły na psy, po żydowskiej dzielnicy zostały tylko gruz, ograbione przez obydwu okupantów miasto przepełniają uchodźcy i nowo przybyli ze wsi mieszkańcy, szerzą się gwałty i grabieże, ludzie pozbawieni dawnych zahamowań dają upust najniższym instynktom.

W spektaklu tego typu obrazy (poza jednym, dość realistycznie pokazanym gwałtem dokonanym przez enkawudzistów) są widzom oszczędzone. Oglądamy za to Maciejewskiego na ekranie, gdy na dokręconych fragmentach filmowych chodzi po współczesnym Lublinie. Sylwetka zmęczonego mężczyzny w prochowcu, z „pomietą” twarzą, kontrastuje z nowoczesnymi budynkami, wywołując z nich upiory i duchy przeszłości dużo skuteczniej, niż mogłyby to uczynić jakiejkolwiek wizualizacje. Teatralna część akcji grana jest na podeście

*Pogrom w przyszły
wtorek*
wg powieści
Marcina Wrońskiego

reżyseria
Łukasz Witt-
-Michałowski
reżyseria części
filmowej
Norbert Rudaś

premiera
14 lipca 2017

Od lewej:
Miroslaw Zbrojewicz
[Grabarz],
Przemysław Sadowski
[Zygmunt Maciejewski]



fol. Jacek Sadowski

ustawionym tuż pod romańskim donżonem, w którym znajdowały się najcięższe cele zamkowego więzienia. Pośrodku sceny umieszczone zostało duże biurko, pełniące od czasu do czasu również rolę łóżka, a chwilami nawet katafalku. Mimo że jest to „tylko” przedstawienie plenerowe, to kilka ról zapada w pamięć – poza Sadowskim i Zbrojewiczem wyróżnili się Jarosław Tomica w roli nie do końca cynicznego bankiera Lipowskiego czy Konrad Biel jako żydowski gangster Glier, próbujący w powojennym Lublinie zachować przynajmniej powierzchowną elegancję. Uwagę zwracają dwa epizody – Dariusza Jeża jako przedwojennego kryminalisty Myszkowskiego i „uczciwego” dentysty i skarbnika Gminy Żydowskiej Zajfena w wykonaniu Mateusza Nowaka. Zwłaszcza ta ostatnia rola – chwilami nieco groteskowo podkreślona – zasługuje na uwagę. Ów „pedałujący jak za cara” na nożnej wiertarce dentystrycznej (wszystkie inne, jak mówi, przepadły po wkroczeniu bratniej Armii Czerwonej) stomatolog byłby łatwy do przeoczenia na scenie, gdyby został zagrany mniej wyraziście – a to właśnie ta postać jest jednym z kluczy do rozwikłania sensacyjnej fabuły przedstawienia – trzeba przecież pamiętać, że mamy jednak do czynienia z adaptacją powieści kryminalnej.

Obok nadspodziewanie przekonującego aktorstwa siłą tego widowiska jest bardzo umiejętne połączenie planu teatralnego z elementami filmowymi (za ich reżyserię odpowiadał Norbert Rudaś). Nie tylko elementy te stanowią wypełnienie pomiędzy scenami granymi na żywo, ale też często obydwie plany się na siebie nakładają – na przykład gdy obecny na scenie aktor „rozmawia” z projekcją filmową albo, jak to ma miejsce w scenie otwierającej spektakl, gdy major Grabarz zamiast odczytywać zeznania świadczące o chwalebnych kartach okupacyjnej przeszłości Maciejewskiego, włącza nagrania niczym prezentację multimedialną. Z kolei tytułowemu pogromowi towarzyszą fragmenty zupełnie współczesnych telewizyjnych relacji.

Tego typu zabiegi pomagają widzowi siedzącemu na dziedzińcu dawnej gestapowskiej i bezpieczniejskiej katowni dostrzec w widowisku coś więcej niż tylko historyczną rekonstrukcję. I nie chodzi tu o dość proste i niezachowujące oczywistych proporcji odniesienie do współczesnej sytuacji politycznej czy głos w toczoną swego czasu żywo dyskusji nad sytuacją Żydów w Polsce tuż po tragedii Holocaustu. Uważny odbiorca ma bowiem w trakcie tego niemal trzygodzinnego widowiska szansę na głębsze zrozumie-

nie sytuacji tych, którzy w 1945 roku przeżywali instalowanie nowego ustroju w Polsce. W finale przedstawienia wszyscy aktorzy przywdziewają więzienne drelichy i chodzą niczym w czasie więziennego spaceru za plecami stojącego na przodzie sceny majora Grabarza. Ten przyjmuje wówczas pozę Hamleta z czaszką Yoricka w dłoni i patrząc wprost w stronę widzów, przekonuje, że z władzą, którą reprezentuje, wszyscy powinni nauczyć się żyć. Wtedy właśnie warto sobie przypomnieć słowa Maciejewskiego, że w trakcie jego życia niewiele się może już zmienić – nie wybuchnie żadna „III wojna, co nas wyzwoli” (o czym w jednej z filmowych scen widowiska śpiewa uliczny grajek), nie przybędzie żaden Anders na białym koniu, a odmrożona na Syberii twarz bezpieczniejskiego majora pewnie będzie towarzyszyć im do końca ich dni, w najlepszym wypadku jako ponure memento.

W takiej perspektywie prywatne śledztwo komisarza, dzięki któremu paru szmalcowników dostało kulę albo trafiło do ubowskiej katowni, a grzesząca póki co przede wszystkim naiwnością młoda dziewczyna uniknęła śmierci, pozostanie jedynie niewiele znaczącym szlachetnym gestem, niemogącym zmienić cokolwiek w świecie, który doświadczył absolutnej katastrofy. ■